

Nauczyłam się mówić nie

Z **KRYSTYNA JANDA**
rozmawia Andrzej Leśniewski

Bodajże dwa lata temu wybrano Panią z okazji stulecia kina najlepszą polską aktorką. Czy taki wybór do czegoś zobowiązuje?

Oczywiście, że zobowiązuje. Kiedy w ankiecie, którą ostatnio przeprowadzono w „Polityce”, zajęłam dość wysoką, szóstą pozycję na najlepszego aktora wieku po prostu się przeraziłam. Kiedy pierwszy raz weszłam po wakacjach na scenę uświadomiłam sobie, że muszę się teraz podwójnie starać, żeby to udowodnić, nawet jeśli traktuję to jako żart czy zabawę.

Po filmach „Człowiek z marmuru”, „Człowiek z żelaza”, „Przesłuchanie” okrzyknięto Panią symbolem pokolenia, jak Pani przyjmuje to określenie?

Żyję z tym określeniem już dość długo, więc się do niego przyzwyczaiłam i nie traktuję tego zbyt poważnie. Moje życie zawodowe bez „Przesłuchania” byłoby dużo uboższe i mniej znaczące. Taka szansa zdarza się raz, albo dwa razy w życiu każdego aktora, artysty. Wszystko: spłot tematu, czasu, reżysera, sytuacji nastąpiło jednocześnie, tak więc mogę rzeczywiście mówić o niesamowitym szczęściu.

Odwagę się powiedzieć, że ma Pani swoje miejsce w historii.

Kiedyś tego nie rozumiałam. Pamiętam jak po premierze „Człowieka z marmuru”, nie zdawałam sobie sprawy, jak ważny okazał się to być film. Tańczyłam potem na jakimś przyjęciu z Januszem Głowackim, który powiedział do mnie: „No i widzisz, masz już z głowy, będziesz w encyklopedii” – Nigdy tego nie zapomnę. Tylko, że po tym nastąpiło 25 lat pracy i wątpliwości na każdy temat.

Czy dopuszczała Pani kiedykolwiek możliwość porażki, czy miała Pani kiedyś takie myśli?

Za każdym razem mam taką myśl. Ale w szkole teatralnej rozumiałam jedną rzecz, jeżeli czegoś nie mogę zrobić, nie umiem zagrać, to zamykam się sama w jakimś pomieszczeniu i tak długo nad tym pracuję, że coś wymyślę. Przez całe moje życie zawodowe tak postępuję. Jeżeli czuję w teatrze, że sytuacja jest dramatyczna, że nie mogę sama ze sobą dojść do ładu, to wtedy zostawiam reżysera, wszystkich kolegów i partnerów i zamykam się na nocę tu w teatrze i po prostu jak w szkole teatralnej staram się dojść do jakichś rezultatów.

Brak sukcesu jest szczególnie bolesny dla aktora. Czy i kiedy doświadczyła Pani takiego uczucia?

Nie mam co narzekać, bo przez te dwadzieścia kilka lat miałam różne role, gorsze i lepsze, które były dla mnie wyzwaniem, nowością, inspirowały, wymagały przeczytania czegoś nowego, albo zdobycia nowych umiejętności. Na przykład w Niemczech musiałam nagle zaśpiewać po niemiecku kilka piosenek, albo przestudiować kilka roczników psychiatrii polskiej, żeby umieć zagrać rolę w filmie „Zwolnieni z życia”.

Cierpiałam wielokrotnie nie tyle na brak sukcesu, tylko na moje poczucie porażki kiedy nie radzę sobie z zadaniem. To, co robię, oceniam dużo bardziej surowo niż krytyka, publiczność. Jeżeli sami sobie nie postawimy kryteriów i na własny użytek nie stworzymy hierarchii wartości,

nikt nam tego poziomu nie znajdzie. Zdarza się tak, że ludziom podoba się byle co i trzeba mieć tego świadomość.

Kim są Pani najwierniejsi widzowie, wielbiciel?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Jedyne co mogę powiedzieć, to to, że ciągle na moje spektakle przychodzi dużo młodzieży. To jest dla mnie ważne. Jak stracę kontakt z młodym widzem, to już mogę się spokojnie zamknąć u siebie w Milanówku, zacząć czytać książki i pielęgnować różę. Trzeba być cały czas w żywym dialogu z publicznością. Młodzież naprawdę chodzi do teatru spontanicznie, emocjonuje się nim. Dopóki są ludzie, którzy przychodzą po kilka razy na ten sam tytuł, to mogę się nie martwić.

Czy trudno jest Pani nosić brzemień gwiazdy?

Z jednej strony łatwo, ponieważ jakby to mnie nie dotyczy. Żyję w dość dużej izolacji i nie spotykam się prywatnie z publicznością, nie chodzę w miejsca publiczne. Żyję zamknięta za jakimś murem, w małym miasteczku i tak mnie wszyscy znają.

Ale w mediach jest Pani cały czas obecna.

Jestem w nich obecna z powodu spraw zawodowych. Bardzo dużo pracuję, co chwilę „wychodzi” jakaś premiera i w naturalny sposób o tym się mówi. Obecność w mediach jest moim obowiązkiem, który spełniam z ochotą.

Wychowała się Pani w domu katolickim z tradycjami. Czy te wartości, które Pani wyniosła z dzieciństwa, z domu rodzinnego przekazuje Pani swoim dzieciom. Jakie są te wartości?

Tak, ale przekazuję je w sposób absolutnie naturalny tzn. po prostu żyję z nimi w jednym domu niczego przed nimi nie ukrywając. Rozmawiam z nimi, staram się być ich partnerem życiowym. Tworzymy bardzo tradycyjną rodzinę, której wartości nie różnią się od większości polskich rodzin. Każdy musi konstruować swoje życie sam, nic nie jest nam dane z góry. Szczęście w naszej rodzinie również się odmieniało, czasami ktoś spadał z góry w całkowitą depresję, rozpacz albo nawet ubóstwo. Wiadomo, że nic nie jest na stałe, że wszystko może się zmienić i dlatego trzeba żyć rozsądnie.

A jak wygląda dom stworzony przez Panią teraz?

Kiedy żył jeszcze mój ojciec podjęłam decyzję zamieszkania z rodzicami i to była podstawowa zmiana w naszym życiu. Obecnie mieszkam z mamą, mężem i moimi synami, bo córka Marysia już się usamodzielniała, w dużym domu z ogrodem w Milanówku. Staramy się jakby „na siłę” normalnie siadać do stołu razem przynajmniej dwa razy dziennie. Robimy to nadludzkim wysiłkiem z mężem, ponieważ ja na przykład, żeby usiąść w domu przy stole z całą rodziną, jadę półtorej godziny specjalnie z Warszawy, żeby natychmiast wracać do teatru na spektakl wieczorny.

Powiedziała Pani niedawno, że dojechała Pani do emerytury.

Tak. Mówię to w takich momentach, kiedy wszystko wali mi się na głowę. Polega to po prostu na tym, że im dalej tym większą czuję odpowiedzialność, tym więcej mi to wszystko kosztuje. Kiedyś potrafiłam przyjść do teatru w pół do siódmej, umalować się byle jak, wyjść na sce-

nę i grać. A dzisiaj przychodzę o piątej, maluję się natomiast, żeby wejść na scenę potrzeba mi coraz więcej czasu.

A jak się Pani czuje w roli babci?

Bardzo dobrze. Lenka ma już roczek. Moim zdaniem, Marysia bardzo dobrze ją wychowuje. W ich domu jest spokój i poczucie bezpieczeństwa i dlatego to dziecko jest nadzwyczajnie spokojne. Ze zdumieniem patrzę na to, w jakiej harmonii wszystko się tam dzieje. Kiedy moje dzieci były malutkie, kosztowało mnie wszystko o wiele więcej nerwów i stresów. Moja córka nie ma ze swoim dzieckiem żadnych, ale pewnie polega to na tym, że ona sama jest osobą zrównoważoną, rozsądną i bardzo dojrzałą. Również jej mąż jest człowiekiem dorosłym, odpowiedzialnym. To wszystko ma silne podstawy i bardzo się z tego cieszę.

Często popada Pani w skrajności emocjonalne?

O nie, już teraz nie. Nauczyłam się mówić „nie” już bez stresów, a kiedyś dużo mnie to kosztowało.

Kiedyś powiedziała Pani, że traktują Panią jak przyjaciela, a nie jako obiekt pożądania.

Czy wybiera sobie Pani mnie, że traktują mnie jako obiekt pożądania? Po prostu jestem kimś z kim można porozmawiać, komu można



się zwierzyć. Nie jestem komórką do wynajęcia. Nawet jeżeli mogłabym być dla kogoś obiektem pożądania to jestem zajęta.

A co chciałby Pani jeszcze zrealizować?

To jest bardzo trudne pytanie. Bardzo wiele rzeczy. Nigdy właściwie nie mówię o niczym na zapas, zobaczymy co będzie dalej. Dużo rzeczy nie udało mi się zrealizować, o których bardzo szeroko opowiadałam.